



Raz na tydzień

Jakkolwiek północ wciąż jeszcze „mrozem dmu cha“ (mieliśmy nawet zasypane śnieżne w kwietniu), a Fałb nic dobrego nie wróży na przyszłość, jednakże czas wraz ze słońcem zrobią swoje i w końcu zakwitnie cudny maj-czarodziej z trubadurem słowikiem, srebrnymi miesięcznymi nocami i upajającą wonią bżów liliowych. Zanim jednak jabłonie zaczną musować różowem kwieciami a trzęśnie sypać śnieżną pianą, pozwól, o piękna czytelniczko, że cię zapytam z nienacka:

— Czy lubisz pani flirt?

— Ależ naturalnie!.. Czy jest bowiem coś miłszego nad flirt niewinny..

— Niewinny?

Tu „spotyka mnie wejrzenie, w którym tkwi wyrzut i błysk złośliwy, zdający się mówić:

— Czyżbyś pan był „moralistą z miną kota“?.. Muszę się bronić.

— Nie, nie jestem „moralistą o wejrzeniu kota“, ale nie sądzę, aby flirt, uprawiany, jak to się dzisiaj dzieje, jako sport, mógł być istotnie „niewinnym“.

— A komuż on szkodzi?

— Przedewszystkiem tobie, pani, a potem — innym.

— Przesadzasz pan! Któż flirt bierze na serio i jaką szkodę może przynieść przelotne jego motyli skrzydeł muśnięcie? A cóżby było warte szare życie, bez tej słonecznej rozrywki!

— Aż tak!.. Pozwól pani, że zamiast odpowiedzi wprost — podsunę ci opinię również kobiety, która uprzejmie przesłała mi zajmującą w tej kwestyi notatkę, zatytułowaną „Kto ma rację?“ Głos ten ma tem większą wagę, że pochodzi właśnie od kobiety, a wy, panie, pomimo czynionych czasami w chwilach rozgoryczenia zarzutów mężczyznom, jesteście i pozostaniecie mistrzyniami flirtu. Otóż posłuchaj pani co powiada p. A-a, moja łaskawa korespondentka:

„Często slysze wygłaszane zdanie: flirt uprzyjemnia życie. Czy tak jest rzeczywiście i czy tak być powinno?... Mnie się zdaje, że flirt to nieuczciwa, niemoralna zabawka, a jako taka, nikomu przyjemności sprawiać nie może. Jest to sięganie po cudze dobro najwyższe, najcenniejsze, zamach na spokój ducha.

„Można z prawdziwą przyjemnością prowadzić każdą rozmowę: poważną, lżejszą, wesołą, żartobliwą, bez zaprawiania jej flirtem, bez suggestywności wszelkimi możliwymi sposobami osoby, z którą się rozmawia, jeżeli się nie ma rzetelnego zamiaru zajrzeć komuś głębiej do duszy, poznać, ocenić i z nim się zespolić. Oprócz zespolenia duchowego dwu osób w małżeństwie, istnieje jeszcze spółka duchowa kilku i wielu, mających wspólne dążności i cele w pewnym kierunku, ożywionych gorącym pragnieniem pożytecznej i wytrwałej pracy dla dobra ogółu.

„Solidarność jest duszą wszelkiej sprawy do brej. Trzeba się poznawać, zbliżać, łączyć i ufać sobie wzajemnie. A jakie to są pobudki flirtu? Wręcz przeciwnie, poziome, nieszlachetne, podniecające i drażniące zmysłowość. Wreszcie do czego to doprowadza? Jedna strona, ubawiwszy się dowolnie, odchodzi, wcale się nie oglądając na spustoszenie, jakie poza sobą zostawia; druga, gdzie w grę wchodzi już uczucie, staje się ofiarą. Jednostka przeciętnej miary umysłu i serca — idzie najczęściej dalej błędną drogą, prowadzącą do bankructwa moralnego, istota, o szerszym widnokreślu myśli i uczuć, uczuwa tylko ból niewymowny. Jak ptak, ugodzony w skrzydła, darmo się zrywa do lotu, toczy długą zaciętą walkę, zanim te pęta narzucone, tak silnie kępujące wole, otrząsnąć zdoła, uchwycić ster łodzi swej życiowej i pchnąć ją całym wysiłkiem władz duszy ku celom wyższemu, altruistycznemu. niosącym zapomnienie doznanej krzywdy osobistej.

Flirt, jak sądzę, przyczynia się w części do zaniku życia towarzyskiego u nas. Rozrywka towarzyska jest higieną myśli. Kto jej pragnie i szuka, wpadłszy w rozflirtowane koło, nie znajdzie wytchnienia, znudzi się, zmęczy bardziej jeszcze w tej dusznej atmosferze fałszu i obłudy — ucieka, unosząc wielki niesmak w duszy, z mocnym postanowieniem nie wracać tu więcej. Czyżby społeczeństwo nasze tak zdeprawowane było, że większość nie przyzna mi słuszności“?

Tak powiada p. A-a i trudno z nią się nie zgodzić.

Choćbym więc miał narazić się wszystkim pięknym zwolennikom flirtu i nie mniej gorącym propagatorom tego miłego sportu „młodzieńcom oraz dojrzałym Petroniuszom“ pozwolę sobie nietylko rozwinąć poglądy p. A-a, ale i dorzucić do nich nie jeden jeszcze szczegół.

Przedewszystkiem, zastrzegam się, że nie myślę

zwalczać praw młodości. I ja też kiedyś byłem — Farylem, lub ściślej mówiąc: studentem i wiem, że maj życia o skrzydłach motyli umiał tryumfować nawet nad... egzaminami, a to wielkie słowo! Student i pensjonarka nie flirtują jednak, ci się, mówiąc zwyczajnie „podkochują“. Ileż to razy młodzieniec wraca z teatru, koncertu, spaceru rozkochany w „pięknej nieznajomej“, ileż to razy podlotek lub młoda dziewczyna roi na temat „jego“, którego wzięła w przelocie, nie zamieniwszy z nim słów nawet kilku. Ileż to razy on podnosi zgubiony kwiatek, a ona chowa ukradkiem pamiątkę w albumie. To jednak nie flirt, to pierwsze przebliski uczucia, to wachlujące w słońcu skrzydła motyle, które nawet nie utrzęsa nic z tęczego swego pyłku. Z takich promyków płaczą się przy sprzyjających okolicznościach silniejsze węzły, lub tworzą się jasne wspomnienia młodości. Te instynktowne ruchy serca i to wynurzanie się Anadyomene z perłowej piany wiosennego morza młodości



Widok ogólny miasta Iskib.



Warta pograniczna bułgarska i turecka przy moście na Strumnicy.

— Mat!—zawołał Petöfi, z loskotem ciskając karty na stolik, a w ślad za tem pociąg towarowy w postaci Gucia bezpiecznie podążył w dal, unosząc uratowane przez okno kosztowności, poczem i załóżte było łatwiej wysliznąć się z pod blokady.

No, dobranoc, Frau Rézi! Zaraz wrócimy, idziemy tylko na kolację.

— Pewnie, że kolacya nie zatrzyma panów długo!—odkrzyknął smok złośliwie, czyniąc widoczną aluzję do tego, że u obydwoh już od rana dzisiaj nie było ani grosza w kieszeni.

A oni tymczasem nie powrócili już wcale. U rogu ulicy czekał na nich Kornelius Flaccus, objuczony butami i kamizelkami, a ztąd — naprzód w świat daleki i szeroki!

Orteliusa Redivivusa.⁴⁾ Na głowie tego pana widniał kołpak taki właśnie, jaki przed nim ostatni chyba Sebastyan Tinodi zawiesić musiał na kołku. Obydwaj, ujrawszy się, ze śmiechem i radością rzucili się sobie w objęcia.

— A waćpan co tu robisz? (W kołku cyganów literatów przyjęty był zwyczaj przemawiania do siebie językiem dawnych czasów. Petöfi zaszczycał tem tylko swoich wybranych).

— Gardło daję, że obydwa dążymy do jednego celu!

— Do pani Rézi!

Nieinaczej. Obydwaj spieszyli spłacić dług dawno zaciągnięty. Berti Palfy wyładował kieszenie honorarium nauczycielskiem świeżo otrzymanem

Te osiem reńskich teraz, skoro już były, tak silnie zaczęły im uciskać kieszenie, jak istny wyrzut sumienia. Ale pozbyć się ich nie było sposobu. Nazwiska dawnej gospodyni swojej nie znali, wystarczyło im dotychczas wiedzieć, że jest Frau Rézi i że posiada nos niepomiernie czerwony. Cóż, kiedy gdyby człowiek chciał każdej babie, która ma na imię Rézi i nos czerwony w zdrowiu nosi, wypłacać po osiem reńskich, na to nie wystarczyłyby i Pluton, nietylko Apollo.

Wzięli się tedy pod ręce i poszli sobie spacerować po ulicy Wacowskiej. Już i wtedy ulica ta służyła za punkt zborny całej elegancyi miejscowej, w popołudniowych godzinach roila się pięknymi kobietami i koleżankami wesołymi, kto żył spieszył witać dwóch bohaterów literatury.

Naraz — jak gdyby piorun w nich trzasnął — stanęła przed nimi Frau Rézi. Miała na sobie tę samą czerwoną chustkę, którą nosiła dawniej, ten sam nos czerwony wystawał na jej twarzy i ten sam stary koszyk pleciony zwieszał się u jej ręki.

— *Sie zwei!*—ryknęła głosem, jakim ryczeć będzie trąba archaniola w dzień sądu ostatecznego i wyciągnęła ku nim rękę w zielonej rękawicze, z nieukrywanym zamiarem uchwycenia ich za kołnier.

Spłoszeni, zniknęli gdzieś w pobliskiej bramie, smok za nimi! Drapnęli co sił na górę, smok prychnął i sapiąc—za nimi. Już go slychać na drugiem piętrze. Co tu robić? niema wyjścia. Złośliwe fatum uwzięło się na nich, przydeptując im pięty.

Gdzie wyparować?

Stali przed drzwiami, na których widniał napis: „Hazucha!“⁵⁾

Był to najzgrzybliwszy krytyk nowych kierunków literatury, którego zarówno Palfy jak Petöfi szamerowali niemiłosiernie, ilekroć się dało, słowem, najbardziej nieublagany wróg obydwoh naszych poetów.

— Chodźmy do Hazuchy!

— Ale czemże us, rawiedliwimy, że przyszliśmy do niego?

— Wszystko jedno... Powiemy, że mu składowy winną czolobitność...

Petöfi u Hazuchy! Czolobitność złożył!

A niebezpieczeństwo zwiększało się z każdą chwilą. Smok ukazał się już na ostatnim zakręcie schodów, zziąjany i obłany potem.

— Właściwie jednak w jakim my celu uciekamy przed panią Rézi?..

— Tam do licha! Rzeczywiście. Po co my przed nią uciekamy?

— Przecież szukaliśmy jej sami tak pracowicie aby jej zapłacić.

— To też najlepiej skorzystajmy z tej sposobności i zapłaćmy jej tutaj odrazu.

Nie zadzwonili więc do Hazuchy, aby mu złożyć uszanowanie, lecz zaczęli na panią Rézi i przedstawwszy jej dwie sztuki złota po pięć reńskich, srogi jej gniew odrazu ułagodźli. Nietylko dług, ale i procent od długu został pokryty i afery cała, szczęśliwie zakończona, niebawem poszła w zapomnienie.

Zostało tylko hasło przez panią Rézi rzucone: „*Sie zwei!*“ Ilekroć Petöfi chciał rozirytować Palfy'ego, wystarczyło mu tylko powiedzieć: „*Sie zwei!*“ Nikt oprócz nich nie znał tajemnicy tych dwóch magicznych wyrazów, to też nikt nie mógł dociec dla czego na ich dźwięk Palfy wpada w pasyę?

Dzisiaj—i on się już za to nie gniewa.

Conan Doyle.

CZŁOWIEK O WYWRÓCONEJ WARDZE.

Przekład z angielskiego.

W czerwcu, 1889 roku, udałem się pewnej nocy do oidyarniej nory położonej we wschodniej części Londynu po jednego z mých pacjentów, który oddawał się nałogowi palenia opium. Odszukałem go z łatwością i skłoniwszy do powrotu, przeciwskalałem się z nim przez wazkie przejście, które tworzyły dwa rzędy śpiących.

Przechodząc obok wychudzonego człowieka, siedzącego tuż przy ognisku, poczułem, że jakaś ręka ciągnie mnie za surdut, a głos stłumiony szepta: — Przejdź koło mnie, odwróć się i spojrz na mnie.

Odwróciłem się. Słowa te wymówione zostały bardzo wyraźnie i pochodzić mogły jeno od starca, przed którym stałem; trudno jednak było w to uwierzyć, wydawał się bowiem zupełnie pijanym. Niezwykle chudy, zgarbiony wiekiem, twarz miał zorana zmarszczkami; trzymał między kolanami fajkę od opium, którą, zdawało się, wypuścił z rąk ze znużenia.

⁵⁾ Pseudonim Władysława Kelmenfi, krytyka i humorystycznego nowelisty.



Stary zwyczaj Wielkanocny na Węgrzech.

W pierwsze święto Wielkiejnocy młodzi parobcy więcej poszukują dziewcząt z kublami pełnymi wody. Dziewczęta od wczesnego ranka spacerują po polach w nadziei ujrzenia w wodzie obrazów swoich przyszłych narzeczonych. Kiedy pewna ilość dziewcząt zgromadziła się na jednym miejscu, parobcy wypadają z ukrycia z kublami, i podbiegają każdy do swojej dziewczę z kubłem, w którym ujrzy odbicie twarzy swego narzeczzonego.

Zdarzenie to komizmem swoim lży z oczu wyciska, gdy się o tem pomyśli: była to przecież złota epoka literatury węgierskiej!

W kilka lat potem spotkały się na ulicy Bałwaniej dwie, odrębną charakterystycznością swoją ogólną uwagę zwracające postacie: jedna z nich był to wysoki, smukły dandys, w léniaćm cylindrze, białej kamizelce, czarnym fraku, lakierowanych kamaszach i wpiętym w oko monoklu, druga zaś była właścicielem takiego *attila*-dolmanu, jakiego ani przedtem ani potem nie nosił żaden śmiertelnik; ubranie to sporządzone było z atlasu meblowego nakształt szat Bendeguza, wzór do niego był wzięty z

za rozwidnienie umysłów młodych księżąt Odescalchi'ch, Petöfi zaś pobrzękiwał setką reńskich, jakie dostał za „Jana Witezia“. I jeden i drugi, jak tylko poczuli pieniądze przy sobie—przedewszystkiem pomyśleli o zaciągniętym długu na ulicy Bałwaniej i o pani Rézi, która do tej pory może i straciła już cierpliwość, a jednak wciąż czekać musiała.

Nie przewidzieli tylko jednej rzeczy, mianowicie, że w miejscu, gdzie kilka lat przedtem stała niepozorna lepianka pani Rézi, teraz — wybudowano okazały pałac trzypiętrowy i o dawną właścicielkę niepodobna się było nawet dopytać.

⁴⁾ Jan Ortel, pisarz niemiecki (1543—1616) zostawił dzieło p. t. „Ungarische Chronologie“, traktujące o wojnach węgiersko-tureckich. Wyszło ono ponownie w r. 1665, zdobne obrazkami, p. t. „Ortelius redivivus“.

Posunęłam się o dwa kroki naprzód, potem odwróciłam się; jednakże użyć musiałam całej siły woli, by się powstrzymać od okrzyku! Starzec uśmiechnął się w taki sposób, że tylko ja mogłam to widzieć.

— Holmesie — szepnąłam — co u diabła robisz w tej knajpie?

— Mów jaknajciszej. Słuch mam doskonały. Gdybyś zechciał oswobodzić się od swego zbydlęconego towarzysza, pragnąłbym pomówić z tobą trochę.

Nie byłam w stanie czegokolwiek bądź odmówić Holmesowi, który prosił swe wypowiedzi jasno, treściwie, tonem spokojnym i nieco rozkazuącym. Wiedziałem również, że gdy doprowadzę i ulokuję pacjenta mego w powozie, misja moja spełniona zostanie, a z drugiej strony z przyjacielem moim Holmesem chętnie szukałem tych przygód osobliwych, które stanowiły treść jego istnienia. Po paru minutach wysunął się z jaskini człowiek zgrzybiały i zbliżył się do mnie, — poczem wyszliśmy razem na ulicę.

Przez dobrą chwilę szedł zgarbiony, niepewnym krokiem. Wreszcie odwrócił się nagle i wybuchnął wesołym śmiechem.

— Sądziś zapewne, Watsonie, — rzekł do mnie — że ten nowy nałóg dołączyłem do podskórno-wstrzykiwania kokainy i innych słabostek, z powodu których odsłaniałeś przedemną szerokie horyzonty wiedzy medycznej?

— Byłem niewątpliwie bardzo zdziwiony, zastając cię tutaj.

— Nie więcej odemnie, gdy cię tu ujrzałem.

— Poszukiwałem przyjaciela.

— A ja wroga.

— Wroga?

— Tak, jednego z mych wrogów, lub jeśli wolisz, jedną z mych zdobyczy. Słowem, zajęty jestem bardzo zajmującym śledzeniem i mam nadzieję, że jak to się nieraz zdarzyło, nieświadome majaczenia tych biedaków naprowadzą mnie na drogę poważnego odkrycia. Jesliby mnie poznano, życie moje nie byłoby warte czterech sous; jest to wyścig z przeszkodami, a ten gałgan Laskar, który mnie ściga, przysięgł, że się zemści. Gdyby drzwi spustu, znajdującego się za tym budynkiem, mogły opowiedzieć, co widziały i co pokryły podczas ciemnych, bezkسیężycowych nocy?

— Jakto, czy masz na myśli trupy?

— Tak, Watsonie, trupy. Bylibyśmy bogaci, gdyby nam dano tysiąc funtów za każdego biedaka, zamordowanego w tej jaskini. Po tej stronie rzeki niema straszniejszej pułapki na śmierć i lękam się, że pan Neville Saint-Clair wszedł tutaj, by ztąd się już nigdy nie wydostać. Ale mój powóz miał tu na mnie oczekiwać.

Przyłożywszy dwa palce do ust, silnie zagwiżdżał, a na to hasło odpowiedziano podobnym świstem, poczem dały się słyszeć uderzenia kopyt końskich i turkot powozu.

— Teraz, Watsonie, — mówił Holmes, na widok wynurzającego się z ciemności dużego dog-carta, oświetlonego blaskiem dwóch latarni, — pojedziesz naturalnie ze mną.

— Tak, jeśli mogę ci być w czem pomocnym.

— Ach! towarzysz godny zaufania, zawsze jest pożytecznym a tembardziej, gdy jest przytem człowiekiem nauki. W Cedrach zajmuję pokój o dwóch łózkach.

— W Cedrach?

— Nieinaczej. Jest to własność pana Neville Saint-Clair. Mieszkam tam od czasu rozpoczętego śledztwa.

— Lecz nie znam początku całej tej historii.

— Istotnie. Opowiem ci ją za chwilę. Zajmij miejsce.

Holmes uderzył klacz z lekka batem i zapuściliśmy się w labirynt ulic ciemnych i pustych, by dotrzeć do szerokiego mostu, rzuconego na mętne fale rzeki. Dalej ogromna znowu przestrzeń, zawałona wapnem i cegłą, po której rozlegały się tylko miarowe i ciężkie kroki policyanta lub śpiewy i krzyki jakiego rozochoconego pijaka. Wielkie czarne chmury zbierały się na niebie, przepuszczając światło kilku zaledwie gwiazd. Holmes milczał; pochyliwszy głowę na piersi, zdawał się być zatopiony w rozmyśleniach, gdy tymczasem ja, siedząc obok niego, zamierałem z ciekawości dowiedzenia się, na jakim nowym zagadnieniu skupiły się wszystkie władze jego umysłu. Nie śmiałem jednakże zapytać go. Przebyliśmy tak kilka mil i dotarliśmy do przedmieścia, zabudowanego licznymi willami, gdy nagle ocknął się mój towarzysz, wzruszył ramionami i z wyrazem szczerzego zadowolenia na twarzy zapalił fajkę.

— Umiesz milczeć, Watsonie, — rzekł do mnie. Jest to nieoceniona zaleta w towarzystwie podróży. Lecz, dalibóg, odczuwam potrzebę rozmowy, albowiem myśli moje nie są bynajmniej wesołe w tej chwili. Zadawałem sobie pytanie, co odpowiem tej

nieszczęsnej kobiecie, gdy dzisiejszego wieczoru wyjdzie na nasze spotkanie?

— Zapominasz, iż nie jestem wtajemniczony.

— Nim zajdziemy do Lee, zdążę przedstawić ci fakta. Wydają się bardzo proste, a jednak nie doszedłem jeszcze do czegoś pozytywnego. Zebrałem dużo wskazówek, nie mogąc z nich utworzyć żadnej całości.

— Słucham.

— Kilka lat temu, czyli dla większej ścisłości, w maju 1894 roku, przybył do Lee pewien człowiek który nazywał się Neville Saint-Clair i uchodził za bardzo bogatego. Wynajął obszerną willę, urządził ją z gustem i żył wystawnie. Wkrótce zaprzyjaźnił się z sąsiadami a w 1897 roku poślubił córkę piwowara, z którą miał dwoje dzieci. Nie oddając się żadnemu stałemu zajęciu, należał do kilku towarzystw i zazwyczaj jeździł do miasta z rana, by każdego wieczoru powracać pociągiem, który, z Cannon Street wychodzi o godzinie 5 minut 14. Pan

ków, udała się do biura owego Towarzystwa. Po odebraniu paczki, znajdowała się punktualnie o godzinie 4 minut 35 na Swandam-Lane, w drodze do dworca. Czy nie zgubiłaś wątku opowiadania?

— Bynajmniej.

— Przypominasz sobie zapewne, jak bardzo wysoką temperaturę mieliśmy zeszłego poniedziałku. Pani Saint-Clair szła powoli, rozglądając się na prawo i na lewo, w nadziei, że dostrzeże jaki powóz do wynajęcia, nie chciała bowiem iść piechotą w tej osławionej części miasta. Idąc tak wzdłuż Swandam Lane, niespodzianie usłyszała okrzyk czy wołanie i zdumiała się, poznawszy męża, który z okna drugiego piętra patrzył na nią lub (jak się jej zdawało) dawał jej jakieś znaki. Okno było otwarte i pani Saint-Clair zapewnia, że mąż wydał się jej wzburzonym. Uczynił ręką ruch rozpaczliwy, potem nagle zniknął, niby pociągnięty jakąś tajemniczą a wszechwładną siłą. Uderzył ją również ten dziwny szkieł, że będąc ubrany jak zwykle w ciemny tużurek,



Rys. oryg. T. Jaroszyńskiego.

Neville Saint-Clair ma obecnie lat trzydzieści siedem; skromnych obyczajów, uchodził za dobrego męża, czulego ojca i stał się popularny w kółku swoich znajomych. Dodam jeszcze, że podług zebranych przezemnie wiadomości długi jego nie przenoszą osiemdziesięciu funtów, dziesięciu szylingów, gdy jednocześnie w bankach stolicy korzystać może z kredytu dwustu dwudziestu funtów. Niepodobna przeto przypuszczać, aby mógł mieć pieniężne kłopoty. Zeszłego poniedziałku p. Saint-Clair wyjechał do miasta wcześniej niż zwykle, oznajmiwszy przyjeździe, że ma dwie ważne sprawy do załatwienia i że synkowi swemu przywiezie grę zwaną nauką budownictwa.

Szczególnym zbiegiem okoliczności żona jego, w parę chwil po jego wyjeździe, otrzymała depezę, zawiadamiającą ją, że w biurze towarzystwa morskiej żeglugi w Aberdeen, jest do jej rozporządzenia paczka wysokiej wartości, której w rzeczy samej oczekiwała. Pani Saint-Clair wyjechała przeto po śniadaniu do miasta, a załatwiwszy kilka sprawun-

który wkładał jadąc do miasta, nie miał ani kołnierzyka, ani mankietów.

Przekonana, że mężowi jej wydarzyło się jakieś nieszczęście, szybko weszła na schody (dom ten, był to poprostu szynk, w którym mnie dziś odszukałeś), przebiegła salę wejścia i usiłowała dostać się na pierwsze piętro, lecz na samym wstępie zagroził jej drogę ten łotr Laskar, o którym ci już wspominałem i z pomocą duńczyka, pełniącego tu rolę sługi do wszystkiego, wypchnął ją na ulicę. Wracając zgnębiona strasznie obawami, gdy nareszcie na ulicy Tresno spotkała pewną liczbę policyantów, którzy z inspektorem na czele powracali do swego oddziału.

Inspektor z dwoma ludźmi udał się za nią i wbrew gwałtownemu oporowi właściciela wtargnął do sali, z której okna ukazał się był przed chwilą pan Saint-Clair, ale nigdzie go nie znaleźli. W rzeczy samej nikogo nie było na tem piętrze, prócz biednego kaleki o wstrętnym wyglądzie, który tu mieszkał. On i Laskar uroczyście przysięgali, że tego po-

południa nikt prócz nich nie wchodził do tego pokoju. Przeczyli tak energicznie, że podejrzenia inspektora zostały zupełnie zachwiane, jał więc przypuszczać, że pani Saint-Clair pomyliła się.

Wtem rzuciła się ona z krzykiem na małe pudełko z białego drzewa, leżące na stole i oderwała wieko; wypadła zeń owa gra, którą pan Saint-Clair obiecał przywieźć swemu dziecku.

Odkrycie to, oraz widoczny niepokój kaleki, przekonały inspektora o ważności sprawy. Dokonano ścisłej rewizji mieszkania i wywnioskowano, że spełniona została ohydna zbrodnia. Pokój frontowy, czyli skromnie umeblowany salon, prowadził do niewielkiej sali jadalnej, z której można było widzieć jeden ze składów. Pomiędzy składem a oknem sypialnego pokoju znajduje się wązki pasaż, suchy podczas odpływu, ale w porze przypływu zalany wodą, co najmniej na wysokość czterech stóp. Okno pokoju jest szerokie i daje się całkowicie otwierać. Śledztwo wykryło kilka plam od krwi na listwie okna i kilka widocznych jeszcze kropli na posadzce. W pierwszej sali natrafiono za firanką na kompletne ubranie pana Saint-Clair, z wyjątkiem tużurka. Kamasze, skarpetki, kapelusz, zegarek, wszystko się tam znajdowało.

Na przedmiotach tych nie znać było śladów gwałtu, a jednakże pan Neville Saint-Clair zniknął. Nie mając innego wyjścia, mógł tylko wyskoczyć oknem, złowieszcze zaś krwawe plamy na listwie okna nie pozwalały ludzić się, aby zdołał szczęśliwie wypłynąć, w chwili bowiem dramatu miał miejsce największy przypływ wody.

Laskar używa jaknajgorszej opinii, lecz ponieważ w parę minut po ukazaniu się męża w oknie, pani Saint Clair widziała go na dole przed schodami, wnosić z tego trzeba, że był jeno współnikiem zbrodni. System jego obrony polega na tem, iż twierdzi, że zgola o niczem nie wie; zaręcza, że nie był wtajemniczony w sprawy i zamiary swego chlebobawcy i że pod żadnym względem nie może spadać na niego odpowiedzialność z powodu wykrycia rzeczy ofiary.

Co zaś do kaleki o podejrzanym wyglądzie, mieszkającego na drugim piętrze i który niewątpliwie ostatni widział pana Saint-Clair, zowie się on Hugo Boone, a wstrętna jego postać dobrze jest znana tym, którzy często nawiedzają naszą stolicę. Jest to żebrak z profesji, jednakże aby uwolnić się od przepisów policji, pozornie sprzedaje zapalki woskowe. Idąc wzdłuż ulicy Thsead Needle, musiałem zauważyć po lewej stronie małe zagłębienie w murze. Tam to właśnie przesiaduje codziennie ten żebrak, trzymając swój towar na kolanach. Przeglądałem mu się niejednokrotnie i uznałem za konieczne zapoznać się z nim, lecz zawsze byłem zdziwiony obfitem żniwem, jakie zbierał w przeciągu paru minut. Wygląd jego jest bowiem tak osobliwy, że każdy przechodzień musi go zauważyć. Kępka rudych włosów, twarz blada, przecięta straszną blizną, która sięgnęła i wyrzuciła brzeg jego górnej wargi; dół twarzy buldoga i dwoje oczu czarnych i żywych, tworzących szczególny kontrast z barwą włosów, wszystko to wyróżnia go z tłumu żebraków, niemniej jak dowcip odpowiedzi, któremi odcina się z wawo na częste zaczepki przechodniów.

Kaleką jest, ponieważ chodzi utykając, ale ma wygląd człowieka silnego i zdrowego. Wiadomo ci zaś, jako lekarzowi, że wątpliwość jednego organu wynagradzana bywa często większą siłą innych członków.

— Proszę cię, nie przerywaj opowiadania.

— Pani Saint-Clair zemdląca na widok krwi na oknie, policja przeto odwiozła ją do domu, obecność jej bowiem nie mogła być pomocną przy śledztwie. Inspektor Barton, któremu poruczono sprawę, przetrząsnął bardzo dokładnie całe mieszkanie, nie takiego nie znajdując, co mogłoby na ślad zbrodni naprowadzić. Popelniono pomyłkę, nie aresztując natychmiast żebraka, który skorzystał z tych kilku minut, by porozumieć się z przyjacielem swym Laskarem; gdy nareszcie zatrzymano go i zrewidowano, nie znaleziono nic podejrzanego. Skonstatowano co prawda plamy od krwi na prawym ręka-wie koszuli, ale pokazał skaleczenie małego palca o koło paznogcia i oświadczył, że krew pochodziła z tego właśnie skaleczenia, dodając, że przed chwilą dotykał się okna, a zatem i tamte plamy miały niewątpliwie to samo źródło. Przeczył temu energicznie, aby był kiedykolwiek widział pana Neville Saint-Clair i przysięgał, że zarówno on jak i policja nie umie sobie wytłomaczyć, jaką tajemniczą drogą dostały się owe rzeczy do jego pokoju. Co zaś do zapewnienia pani Saint-Clair, iż męża swego widziała w oknie, Boone zdecydował, że ta kobieta była waryatką, lub ulegała przywidzeniom. Mimo protestu, zaprowadzono go do więzienia. Inspektor pozostał w mieszkaniu, w nadziei, że przypływ wody przyniesie mu jaką nową wskazówkę; nie mylił się, gdyż znaleziono w mule, wprawdzie nie to czego szukano, lecz zamiast osoby pana Neville Saint-Clair, jego własny tużurek. A zgadnij, co w kieszeniach znaleziono.

— Nie wiem.



Zwiedzanie zakładów elektrycznych, opartych na użytkowaniu olbrzymiego spadku wody w Vizola (kanton tessyński, Szwajcarya).

— Nie dziwię się, niepodobna bowiem odgadnąć. A więc, wszystkie kieszenie pełne były większej i drobniejszej monety. Nic szczególnego, że woda uszanowała to wszystko. Ale ciało łatwiej daje się porwać falom. Między przystanią a domem jest prąd tak gwałtowny, że wydało się to naturalnym, iż bardzo ciężki tużurek został na miejscu, a ciało oswobodzone z wszelkiej odzieży uniosła woda na dno rzeki.

— Sądziłem, że wszystkie inne części ubrania znalezione w pokoju. Czyżby ciało przyodziane było tylko w tużurek?

— Nie, jednakże i ta teza dałaby się obronić. Przypuśćmy, że Boone wyrzucił Neville Saint-Claira przez okno; nikt tego nie widział; cóż tedy czyni? Stara się pozbyć odzieży, która mogłaby go zdradzić. Bierze do ręki tużurek, aby go rzucić, lecz zastanawia się, że zamiast zatonać, wypłynie na powierzchnię. Niema czasu do stracenia, gdyż dochodzą go odgłosy walki, toczącej się na dole schodów, wtedy, kiedy kobieta usiłowała wejść na górę, a może już dowiedział się od swego spółnika Laskara, że cwałem przybywają zandarmi. Niemożliwym staje się dłuższe wahanie. Biegnie do kryjówki, w której ukrywał owoce swej żebrani i pełnemi garściami chwytając monetę, napycha niemi kieszenie tużurka; potem wyrzuca go przez okno. Pozostałe części ubrania uległyby temu samemu losowi, ale posłyszal hałas i nim wtargnęła policja do pokoju, zdążył zaledwie zamknąć okno.

— Istotnie, wydaje się to prawdopodobnem.

— W każdym razie w braku lepszej hipotezy, tę weźmiemy za punkt wyjścia. Jak ci już mówiłem, Boone został zaaresztowany i uwięziony, lecz nie udało się znaleźć żadnego dowodu przeciw niemu. Od wielu lat znany jest jako żebrak z profesji, a w ży-

ciu jego nie wykryto nic nagannego. Oto wyniki śledztwa. Pozostaje do wykrycia, co czynił Neville Saint-Clair w jaskini palaczy opium, co go spotkało, gdy tam przebywał, gdzie się teraz znajduje i jaki jest udział Hugona Boone w jego zniknięciu.

Gdy Sherlock Holmes opowiadał tę dziwną historję, przejechaliśmy przez przedmieście miasta, minęliśmy ostatnie samotne domy, a teraz powóz nasz toczył się drogą, okoloną z obu stron płotami.

— Znajdujemy się w okolicy Lee, — rzekł do mnie mój towarzysz Czy widzisz to światło za drzewami? Oto gdzie są Cedry. Światło to, to lampa owej biednej kobiety, której słuch wyteżony pochwycił już zapewne tentent mojego konia.

— Ale dlaczego nie pracujesz nad tą sprawą u siebie, na Baker-Street? — zapytałem.

— Ponieważ dużo wiadomości zasięgnąć muszę na miejscu. Pani Saint-Clair oddała mi dwa pokoje do mego rozporządzenia; nie wątpię, że i ciebie, kolego, bardzo gościnnie powita. Jestem do głębi wzruszony, że ujrzę ją, nie przywoząc jej żadnej wieści. Otóż i stanęliśmy na miejscu. Hola!

Zeskoczyłem i szedłem za Holmesem po piaszczystej alei, prowadzącej do domu. Nizka blondynka wyszła na nasze spotkanie. Ubrana była w suknię z czarnego mousseline de soie, z różowem przybraniem u rękawów i szyi. Sylwetka jej zarysowała się w obramowaniu drzwi. Jedną rękę trzymała na klamce, drugą wyciągnęła ku nam z oznaką najwyższego niepokoju.

— Więc co! — wołała — więc co!

Ujrzawszy mnie, wydała okrzyk pełen nadziei, który zamienił się w jęk, gdy spostrzegła, że mój towarzysz potrząsa głową i wzrusza ramionami.

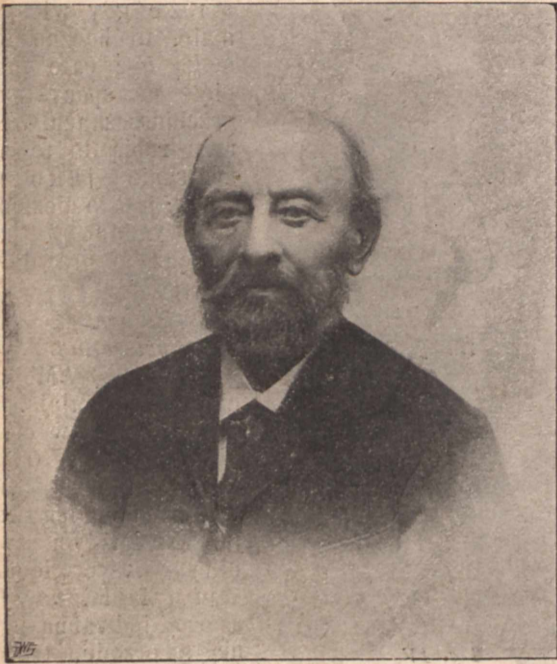
— Niema dobrych wiadomości?

— zadnych.
— I złych również niema?
— Niema.
— Dzięki Bogu! Ale wejdźcie panowie do domu. Musicie być znużeni po tak długim i uciążliwym dniu.

— Przedstawiam pani przyjaciela mego, Watsona. W rozwikłaniu niejednej sprawy bardzo mi był pomocny.

— Miło mi jest poznać pana, — rzekła, ściskając moją dłoń serdecznie. — Wybacz pan, jeśli ci na czem zbywać będzie. Wiesz bowiem, jakim straszonym ciosem zostałam dotknięta.

(Dok. nast.)



Podług fotografii J. Grodzickiego w Radomiu.

S. p. Konstanty Mirecki.

Podajemy powyżej podobiznę zmarłego dnia temu parę s. p. Konstantego Mireckiego, bytego właściciela dóbr Rozniszew, ostatnio zamieszkałego w Radomiu.

S. p. Mirecki zapisał przeszło 400,000 rubli na cele dobroczynne w Warszawie, Krakowie i Radomiu, obdarzając najhojniej budujący się w tem ostatnim mieście kościół katolicki, bo kwotą 100,000 rb. Szczegółowy wykaz zapisów podaliśmy niedawno czytelnikom *Wiek*, obecnie więc przytaczamy garść szczegółów biograficznych, wspianego dobroczyńcy dotyczących.

Urodził się s. p. K. Mirecki w Łukowie w gubernii siedleckiej w roku 1805; ojciec jego był lekarzem wojskowym, który brał udział w licznych pochodach wojennych „Małego Kaprala”, matka — znana z cichego poświęcenia i dużych cnót domowych nie wiasta. Po zdobyciu wiedzy u księży pijarów, s. p. Konstanty, ożywiony gorącą miłością ku ziemi rodzinnej, zaczął pracować na roli, objawiając w dzierżawę majątek Krężele w rawskim. Nadzwyczajną pracą i zabiegliwością, a wielkiem umiłowaniem zagona ojczystego majątek ten do wysokiej kultury doprowadził i sporo grosza złożył.

Ożeniwszy się z panią Aleksandrą Więckowską, właścicielką dóbr Rozniszew, gospodarstwo tam wzorowo prowadził.

Dopiero zgon ukochanej małżonki i zbliżający się wiek sędziwy zmusiły go do opuszczenia wsi i zamieszkania w mieście, gdzie pracowitego żywota dokonał.

Bogactwo, dobroć i wielkie serce były wybitnymi cechami charakteru s. p. Konstantego Mireckiego.

Monarchowie w niemocy fizycznej.

Mimo wszelkich, wymarzonych wygod, jakimi cieszą się osoby panujące z racji swego wysokiego stanowiska, nie są bynajmniej ci wybrańcy wolni od brzemienia najrozmaitszych cierpień fizycznych, równie jak i wszyscy zwykli śmiertelnicy na świecie.

Zaden chyba jednak z pacjentów nie dopuścił się tyle tragicznego żartu względem swoich lekarzy, co królowa Ostrachilda w 536 roku po Narodzeniu Chrystusa.

Czuając zbliżającą się godzinę śmierci, królowa zawezwała wszystkich swoich sześć u medyków, którzy dozorowali ją przez cały czas choroby i oświadczyła zarazem małżonkowi swemu Guntramowi, iż ma doń prośbę, dotyczącą lekarzy.

Król naturalnie przyrzekł z góry spełnić wszelką ostatnią wolę umierającej. Lecz przyrzeczenie to bynajmniej nie zadowoliło ani królowej, ani otaczających ją przy łożu śmierci lekarzy, którzy mieli najgłębsze przekonanie, iż monarchini pragnie wyjednać dla nich u króla sówite królewskie wynagrodzenie.

Można sobie jednak wyobrazić rozczarowanie ich, gdy królowa zwróciła się do władcy burgundzkiego z następującymi słowami:

— Proszę cię mój panie i mężu, abys po mojej śmierci rozkazał tych wszystkich zacnych ludzi pochować razem ze mną w jednej mogile!

Król Guntram znany z resztą z tego, że nie przykładął zwykle zbyt wielkiej wagi do dawanych komukolwiek przyrzeczeń, tym razem jednak dotrzymał słowa i sześciu nieszczęsnych lekarzy zostało rzeczywiście zakopanych wspólnie z ich dostojną pacjentką Ostrachildą.

Nadworny lekarz króla francuzkiego Ludwika XI, znakomity Flossart, miał także przy swoim pacyencie życie bardzo gorzkie. Okrutny ten i despotyczny władca francuzki, był jak wiadomo, bardzo podejrzliwym, i z tego powodu Flossart zmuszony był zażywać wszelkie medykamenty łącznie z pacjentem. A ponieważ kuchnia łańciska w XV wieku była zgola nieapetyczna, przeto łatwo sobie wyobrazić, ile gorzkich chwil musiał przeżyć biedny Flossart podczas swej wieloletniej godności lejb-medyka.

Przykrym niezmiernie pacyentem był także Fryderyk Wielki, król pruski, gdyż przedewszystkiem nie stosował się nigdy do przepisywanej mu przez lekarzy diety.

Fryderyk Wielki miał swoje ulubione potrawy, jak naprzykład pasztety i groch, mocno wygotowany, którymi się zajadał, a które bardzo szkodliwie wpływały na jego żołądek. Otóż medyk królewski Seller, wpadł w niełaskę swego pacjenta za to tylko, że ośmielił się zwrócić mu parokrotnie uwagę z powodu nadużycia tych potraw, bezwzględnie dla króla szkodliwych.

Nie mniej może nieznośnym pacyentem był Napoleon I; genialny ten władca zapadał często na chorobę żołądka, a gdy się tylko pokazały najłżejsze choćby niedyspozycje tego „gospodarza” organizmu ludzkiego, Napoleon zaczyna biadać, że ma raka dziecięcego, albowiem ojciec jego, oraz dwie siostry, Karolina i Anuncyata, zmarli przedwcześnie na tę chorobę.

Już w 1806 roku, uczuwszy pierwsze objawy choroby żołądkowej, Napoleon wyraził się: — Noszę w sobie niewątpliwie zarodek śmierci przedwczesnej i wiem, że umrę na raka, jak mój ojciec!

Podczas niewoli na wyspie św. Heleny, począwszy od 1817 roku, ciężkie tego rodzaju przypadłości zaczęły się powtarzać u Napoleona coraz częściej, a po każdym niemal jedzeniu następowały objawy

silnego bólu żołądka i kiszek. W 1818 roku Napoleon dotknięty został opuchliną nóg, tak, że lekarz jego zaznaczył konieczność zwołania konsylium.

Lecz Napoleon zaprotestował, mówiąc: — Jestem pewien, że kolega pański powie to samo, co i pan, a więc zabroni mi przedewszystkiem jazdy konnej! Wkrótce lekarz wielkiego niewolnika, O'Mears, zastąpiony został przez doktora Stane, gdy jednakże i ten ostatni, jak i jego poprzednik, posprzeczał się z gubernatorem wyspy św. Heleny i został złożony ze swego urzędu, wtedy Napoleon wyrzekł się z całą stanowczością usług lekarzy angielskich. Dalszej opieki lekarskiej nad dostojnym pacyentem podjął się ziomek Napoleona, korsykanin Francesco Antomarchi, który przedtem był wieloletnim ordynatorem szpitala florenckiego.

Z tym jednakże Napoleon obchodził się jeszcze gorzej i Antomarchi nigdy nie był w stanie namówić zdegradowanego monarchę do przyjęcia przepisanej lekarstwa. Na wszystkie błagalne prośby i namowy Antomarchi'ego, Napoleon miał zawsze jedną i tę samą odpowiedź:

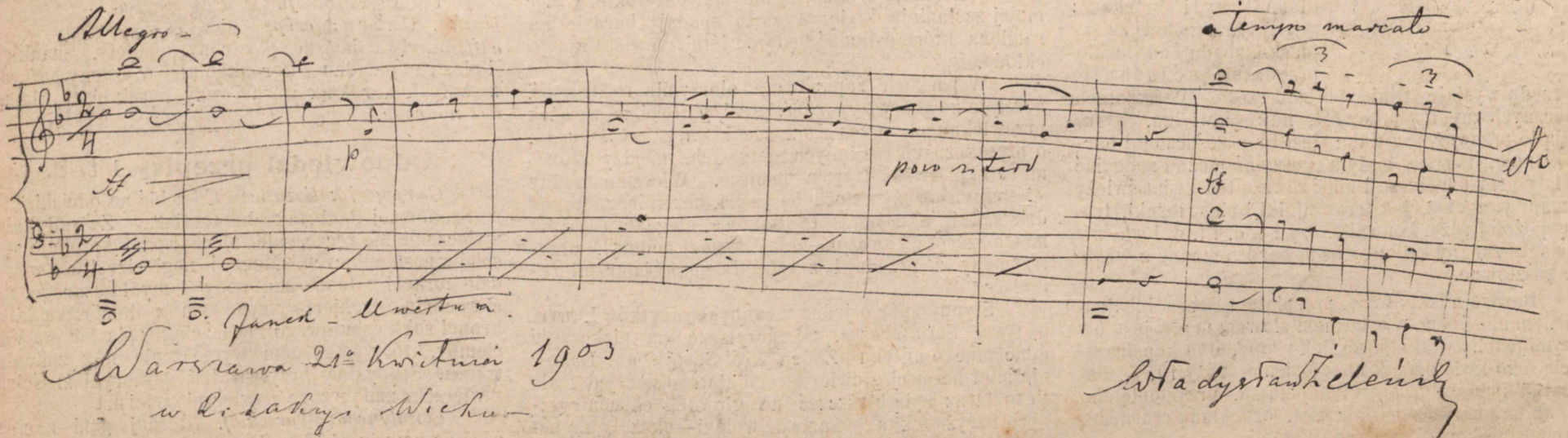
— Nie przeciwdziałaj pan nareszcie życiowemu procesowi i pozostaw go pan samemu sobie. To mu pomoże znacznie więcej, niż wszystkie wasze leki!

Historya wspomina, iż liczny szereg panujących, bądź niezupełnie dowierając swoim lekarzom przybocznym, bądź nie zadawając się ich kompetencją, okazywał skłonność do leczenia się „na własną rękę”. W liczbie tych wyróżnia się przedewszystkiem monarcha angielski Henryk VIII, słuszny i piękny mąż czyzna, zmarły w 56 roku życia na wodną puchlinę. W muzeum brytańskim zachowana jest do tej pory liczna kolekcya recept królewskich, gdzie przepisane są plastyry, maście, rozmaite odvary z odręcznie przez króla skreślonymi wskazówkami o ich użyciu i t. d. Większość tych recept miała znaczenie środków lekarskich, stosowanych do wygubienia t. zw. potu angielskiego. Oto np. taki przepis królewski:

„Gdy boli ręka albo noga, to należy moczyć ją przez godzinę w mroźnej wodzie, gdy zaś ból dotyka inną część ciała, to zmoczywszy kawałek płótna w takiejże wodzie, należy nim obwiązać dane miejsce. Zresztą — mówi monarcha — ten środek kuracyjny sto-



Władysław Żeleński,
twórca opery „Janek”.



Autograf twórcy „Janek” Władysława Żeleńskiego.

